

GRA O TRON

Cykl
PIEŚŃ LODU I OGNIA

GRA O TRON

STARCIE KRÓLÓW

NAWAŁNICA MIECZY

Tom I. Stal i śnieg

Tom II. Krew i złoto

UCZTA DLA WRON

Tom I. Cienie śmierci

Tom II. Sieć spisków

George R.R. Martin

GRA O TRON

Tłumaczył Paweł Kruk

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

Tytuł oryginału *A Game of Thrones*

Copyright © 1996 by George R.R. Martin

All rights reserved

Copyright © 1998, 2011 for the Polish translation by Zysk i S-ka

Wydawnictwo s.j., Poznań

Wydanie przejrzał i poprawił

Michał Jakuszczyński

ISBN978-83-7506-924-2

Zysk i S-ka Wydawnictwo
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
tel. 61 853 27 51, 853 27 67, fax 852 63 26
Dział handlowy, tel./fax 61 855 06 90
sklep@zysk.com.pl
www.zysk.com.pl

Dla Melindy

PROLOG

— Powinniśmy wracać — nalegał Gared, kiedy las zaczął pogrążyć się w mroku. — Dzicy nie żyją.

— Czyżbyś bał się zmarłych? — spytał ser Waymar Royce z cieniem uśmiechu na ustach.

Gared nie dał się sprowokować. Był mężczyzną w sile wieku, skończył pięćdziesiąt lat i widział już niejedno paniątko; większość z nich przychodziła i odchodziła.

— Zmarli to zmarli — oświadczył. — Nic nam do nich.

— Czy oni rzeczywiście nie żyją? — dopytywał się Royce. — Jakie mamy dowody?

— Will ich widział — powiedział Gared. — Jeśli on twierdzi, że oni nie żyją, to ja mu wierzę.

Will domyślał się już wcześniej, że prędzej czy później wciągną go do swojej kłótni. Pragnął jednak, by nastąpiło to później.

— Moja matka opowiadała mi, że zmarli nie mają głosu — wtrącił.

— Moja niańka mówiła to samo, Will — odpowiedział Royce. — Nie wierz w nic, co ci opowiadają przy piersi. Istnieją rzeczy, których można się nauczyć nawet od zmarłych. — Jego głos odbił się echem w pogrążającym się w mroku lesie.

— Przed nami długa droga — zauważył Gared. — Osiem dni, może dziewięć, a już zapada noc.

Ser Waymar zerknął na niego obojętnie.

— Codziennie zapada mniej więcej o tej samej porze. Gared, czyżbyś bał się ciemności?

Will widział ściągnięte usta Gareda i błyski gniewu w jego oczach schowanych pod czarnym kapturem grubego płaszcza. Od czterdziestu lat Gared służył w Nocnej Straży i nie przywykł, by

traktowano go lekceważąco. Ale nie tylko o to chodziło. Will wy-czuwał jeszcze coś pod zranioną dumą starca. Można było to wy-czuć niemal namacalnie; nerwowe napięcie graniczące ze strachem.

Will podzielał ten niepokój. Od czterech lat służył na Murze. Kiedy po raz pierwszy wysłano go na zewnątrz, w jednej chwili przypomniał sobie wszystkie dawne opowieści, że aż go zemdliło. Później wydawało mu się to śmieszne. Teraz miał już za sobą ze sto wypraw i niestraszne mu było ciemne odludzie. W ten sposób południowcy nazywali nawiedzany las.

Tak było aż do dzisiaj, ponieważ tego wieczoru było inaczej. Opadająca na las ciemność sprawiała, że czuł dreszcz na całym cie-le. Przez dziewięć dni jechali na północ, potem na północny zachód i znowu na północ. Oddalali się coraz bardziej od Muru w pogoni za bandą dzikich grabieżców. Każdy kolejny dzień stawał się bar-dziej nieznośny od poprzedniego. Dzisiejszy okazał się najgorszy ze wszystkich. Liście szeleściły niczym żywe stworzenia, poruszane wiejącym z północy zimnym wiatrem. Przez cały dzień Will miał wrażenie, że coś ich obserwuje, coś zimnego i nieustępliwego, co z pewnością nie darzyło go sympatią. Gared podzielał jego odczu-cia. Will pragnął, by jak najszybciej popędzili i schronili się za bez-piecznym Murem, lecz nie mógł tego powiedzieć swojemu dowódcy.

A już na pewno nie takiemu dowódcy.

Ser Waymar Royce był najmłodszym synem starego rodu posia-dającego zbyt wielu przodków. Był przystojnym, osiemnastoletnim mężczyzną o szarych oczach i niezwykle szczupłej sylwetce. Rycerz patrzył z góry ze swojego czarnego rumaka na Willa i Gareda, któ-rzy jechali na drobniejszych koniach. Ubrany był w czarne skórzane buty, czarne wełniane spodnie, czarne rękawice z kreciej skóry i wspaniałe okrycie, które stanowiła czarna lśniąca kolczuga na-łożona na warstwy czarnej wełny i garbowanej skóry. Ser Waymar służył w Nocnej Straży od niespełna pół roku, lecz nie można było powiedzieć, że nie przygotował się do swojego zajęcia. Przynaj-mniej jeśli chodzi o stroje.

Szczególnego blasku dodawało mu jego futro z soboli: czarne jak noc, grube i miękkie niczym grzech. „Założę się, że sam je

wszystkie pozabijał — mówił wcześniej Gared do swoich towarzyszy przy winie. — Pewnie poukręcał im łby nasz dzielny wojownik”. Roześmiali się razem z nim.

Trudno jest przyjmować rozkazy od człowieka, z którego śmiejesz się za jego plecami, pomyślał Will, dygocąc na grzbiecie swojego konia. Gared pewnie czuł to samo.

— Mormont powiedział, że mamy ich wytropić, i tak zrobiliśmy — odezwał się głośno Gared. — Nie żyją. Nie będą nas więcej niepokoić. Przed nami ciężka droga. Nie podoba mi się ta pogoda. Jeśli spadnie śnieg, powrotna podróż może potrwać nawet i dwa tygodnie, a śnieg to najmniejsze zło, jakiego należy oczekiwać. Mój panie, czy widziałeś kiedyś lodową burzę?

Młody rycerz wydawał się nie zwracać na niego uwagi. Wpatrywał się w zmrok z miną na wpół znudzoną, na wpół roztargnioną, dobrze znaną jego podwładnym. Will jeździł z nim wystarczająco długo, by nauczyć się, że w takiej chwili lepiej mu nie przerywać.

— Will, opowiedz mi jeszcze raz, co widziałeś. Dokładnie, niczego nie opuszczaj.

Przed wstąpieniem do Nocnej Straży Will był myśliwym. A dokładniej mówiąc, kłusownikiem. Wolni Mallistera przyłapali go na gorącym uczynku w lesie swojego pana, jak ściągał skórę z kozła, tak więc miał do wyboru: przywdziać czarny strój albo stracić rękę. Nikt nie potrafił poruszać się po lesie równie cicho jak Will, o czym szybko przekonali się jego czarni bracia.

— Obóz znajduje się dwie mile stąd, tuż za wzgórzem, nad strumieniem — powiedział Will. — Podkradłem się najbliżej, jak tylko mogłem. Jest ich ośmioro, mężczyźni i kobiety. Dzieci nie widziałem. Postawili szałas przy skale. Śnieg prawie całkiem go przykrył, ale ja zauważyłem. Nie palili ognia, lecz wyraźnie widziałem wykopany dół. Nikt się nie poruszył. Długo ich obserwowałem. Żywi nie wytrzymaliby tak długo, nie poruszając się.

— Widziałeś krew?

— Nie — przyznał Will.

— A jakąś broń?

— Miecze i łuki. Jeden z nich miał topór. Wyglądał na ciężki,

z podwójnym ostrzem. Okrutna broń. Leżał na ziemi, tuż przy jego ręce.

— Zwróciłeś uwagę na ułożenie ciał?

Will wzruszył ramionami.

— Dwoje z nich siedzi pod skałą, a pozostali leżą na ziemi. Jak zabici.

— Albo pogrążeni we śnie — zauważył Royce.

— Zabici — upierał się Will. — Na drzewie, wśród gałęzi, dostrzegłem kobietę. Pewnie stała na straży. — Uśmiechnął się słabo. — Pilnowałem się, żeby mnie nie zobaczyła. Ona także się nie poruszała. — Nie potrafił opanować drżenia.

— Masz dreszcze? — spytał Royce.

— Trochę — mruknął Will. — To z zimna, panie.

Młody rycerz zwrócił się w stronę siwego zbrojnego. Ścięte mrozem liście zaszeptały dookoła, a rumak Royce'a skoczył niespokojnie.

— Gared, jak myślisz, co ich mogło zabić? — spytał obojętnym głosem ser Waymar. Otulił się szczelniej swoim długim czarnym futrem.

— Chłód — odpowiedział Gared zdecydowanym głosem. — Zeszłej i poprzedniej zimy, kiedy byłem jeszcze prawie chłopcem, widziałem, jak ludzie zamarzali z zimna. Ludzie opowiadają o zaspach głębokich na czterdzieści stóp i o wiejącym z północy lodowatym wietrze, lecz prawdziwym wrogiem jest chłód. Skrada się ciszszej niż Will; najpierw trzęsiesz się, dzwonisz zębami i tupiesz, marząc o grzonym winie i miłym ognisku. Potem chłód przenika cię, wypełnia twoje ciało i nie masz już siły z nim walczyć. Łatwiej jest po prostu usiąść albo położyć się spać. Podobno na końcu nie czujesz bólu. Słabniez i ogarnia cię senność; wszystko zamazuje się i czujesz, jakbyś tonął w morzu ciepłego mleka. Ogarnia cię błogi spokój.

— Cóż za wymowność — zauważył ser Waymar. — Nie podejrzewałem cię o coś takiego.

— Paniczku, ja zaznałem podobnego chłodu. — Gared ściągnął z głowy kaptur, odkrywając okaleczone miejsca, w których kie-

dyś miał uszy. — Uszy, trzy palce u nóg i mały palec lewej dłoni. Miałem szczęście. Mój brat zamarzył na warcie z uśmiechem na ustach.

Ser Waymar wzruszył ramionami.

— Powinieneś się ciepłej ubierać, Gared.

Gared rzucił młodemu rycerzowi gniewne spojrzenie, a blizny wokół otworów po uszach, które obciął mu maester Aemon, zaogniły się od gniewu.

— Zobaczymy, jak ciepło się ubierzesz, kiedy przyjdzie zima. — Nasunął na głowę kaptur i wtulił głowę między ramiona, pograżając się w ponurym milczeniu.

— Skoro Gared twierdzi, że to zimno... — zaczął Will.

— Will, pełniłeś warty w zeszłym tygodniu?

— Tak, panie. — Przecież nie było tygodnia, żeby nie wychodził na kilkanaście cholernych wart. Do czego on zmierzał?

— Jaki był wtedy Mur?

— Wilgotny, kapało — odpowiedział Will, marszcząc czoło. Teraz zrozumiał, o co chodzi rycerzowi. — Nie mogli zamarznąć, skoro Mur płakał. Nie było jeszcze aż tak zimno.

Royce mu przytaknął.

— Bystry chłopak. W zeszłym tygodniu mieliśmy trochę przymrozków, trochę też popadał śnieg, ale z pewnością nie nadeszły jeszcze mrozy, które by zabiły ośmioro dorosłych ludzi. Ludzi ubranych w skóry i futra, mających schronienie i możliwość rozpalenia ogniska. — Rycerz uśmiechał się pewny siebie. — Will, zaprowadź nas tam. Chcę zobaczyć tych nieżywych na własne oczy.

Teraz już nie było rady. Został wydany rozkaz, a honor nakazywał go wypełnić.

Will jechał na przedzie; jego kudłaty, drobny wierzchowiec stąpał ostrożnie przez splątane zarośla. Poprzedniej nocy spadł niewielki śnieg i przykrył kamienie, korzenie i zagłębienia czyhające na nieostrożnych jeźdźców. Za nim podążał ser Waymar Royce na swoim ogromnym czarnym rumaku, który prychał niecierpliwie. Nie był to najlepszy koń na pościg, tylko kto powie o tym paniątku. Za nim jechał Gared. Stary żołnierz mruczał do siebie pod nosem w czasie jazdy.

Zapadał coraz większy zmrok. Bezchmurne niebo przybrało kolor ciemnej purpury, barwę starego siniaka, a potem szerniało. Ukazały się pierwsze gwiazdy, półksiężyc. Źródła światła, które ucieszyły Willa.

— Możemy jechać szybciej — powiedział Royce, kiedy ujrzeli całą tarczę księżyca.

— Nie na tym koniu — odparł Will. Strach sprawiał, że stawał się zuchwały. — Może pojedziesz przodem, mój panie.

Ser Waymar Royce nie raczył odpowiedzieć.

Gdzieś w głębi lasu rozległo się wycie wilka.

Will zatrzymał konia pod wykrzywionym starym grabem i zsiadł z niego.

— Dlaczego się zatrzymujesz? — spytał ser Waymar.

— Lepiej będzie, jeśli dalej pójdziemy pieszo. To już za tamtym wzgórzem.

Royce siedział przez chwilę nieruchomo ze wzrokiem utkwionym w dal. Zimny wiatr zaszepotał w koronach drzew. Jego obszerne czarne futro z soboli poruszyło się, jakby ożyło na moment.

— Coś mi się tutaj nie podoba — mruknął Gared.

Młody rycerz posłał mu szyderczy uśmiech.

— Niby co?

— Nie czujesz? — spytał Gared. — Posłuchaj ciemności.

Will domyślał się, o co chodzi Garedowi. W ciągu czterech lat służby w Nocnej Straży nie bał się tak bardzo ani razu. Co to było?

— Wiatr. Szeleszczące liście. Wilk. Gared, czego boisz się najbardziej? — Nie doczekawszy się odpowiedzi, Royce zsunął się zgrabnie z siodła. Przywiązał mocno wierzchowca do gałęzi zwieszającego się konaru z dala od pozostałych koni i wyciągnął z pochwy długi miecz. Na rękojeści zaśniły klejnoty, a promienie księżycowego blasku ześliznęły się po jego ostrzu. Wspaniały miecz, wykuty w zamkowej kuźni, nowy, sądząc z wyglądu. Will podejrzewał, że jeszcze nigdy nikt nie zamachnął się nim w porywie gniewu.

— Drzewa rosną tutaj bardzo gęsto — ostrzegł go Will. — Twój miecz, panie, może się zaplątać. Lepszy będzie nóż.

— Jeśli będę potrzebował rady, zwrócę się do ciebie — odpowiedział młody lord. — Gared, zostań tutaj i pilnuj koni.

Gared zsiadając z konia, rzekł:

— Zajmę się ogniskiem.

— Jaki z ciebie stary głupiec! Jeśli w lesie czają się wrogowie, to ogień jest ostatnią rzeczą, jakiej nam trzeba.

— Istnieją wrogowie, których można odpędzić ogniem — powiedział Gared. — Niedźwiedzie, wilki i... inne istoty.

— Żadnego ognia. — Ser Waymar zacisnął usta.

Kaptur skrywał twarz Gareda, lecz mimo to Will dostrzegł błysk w jego oczach, kiedy ten spojrzał na rycerza. Przez moment obawiał się, że starzec sięgnie po broń. Był to krótki, brzydki miecz z rękojeścią zniszczoną od potu i ostrzem wyszczerbionym od licznych walk, lecz Will nie miał wątpliwości, co by się stało z paniątkiem, gdyby Gared wyciągnął go z pochwy.

— Żadnego ognia — mruknął Gared, wbijając wzrok w ziemię.

Royce przyjął to za wystarczający dowód uległości i odwrócił się do Willa.

— Prowadź.

Ruszyli przez zarośla, a potem w górę zbocza, aż dotarli na jego grzbiet, skąd wcześniej Will obserwował obcych, ukryty pod drzewem strażniczym. Ziemia pod cienką warstwą śniegu była wilgotna i śliska, pełna zdradliwych korzeni i kamieni. Will wspinał się bezszelestnie. Za to z tyłu dochodziło ciche pobrzękiwanie kolczugi młodego lorda, szelest liści i ściszone przekleństwa, kiedy gałęzie czepiały się jego miecza i futrzanego okrycia.

Bez trudu odnalazł ogromne drzewo strażnicze, którego gałęzie zwieszały się prawie do samej ziemi. Will podczołgał się na brzuchu po śniegu i błocie i spojrzał na pustą polanę.

Serce w jego piersi zamarło. Przez moment nie miał odwagi odychać. Blask księżycy ukazywał wyraźnie całą scenę: popiół w palenisku, przykryty śniegiem szałas, ogromny głaz i mały, na wpół zamarznęty strumień. Nic się nie zmieniło.

Zniknęły tylko ciała. Wszystkie.

— Bogowie! — Usłyszał za sobą. Miecz przeciął gałąź, kiedy

ser Waymar Royce dotarł na grzbiet wzgórza. Stał obok drzewa; z mieczem w dłoni oraz w spływającym z ramion i łopoczącym na wietrze futrze tworzył niezwykle malowniczą postać, doskonale widoczną na tle rozgwieżdżonego nieba.

— Na dół! — syknął Will. — Coś tu jest nie tak.

Royce nawet nie drgnął. Spojrzawszy na pustą polankę, roześmiał się.

— Will, zdaje się, że twoi zmarli zwinęli obóz.

Will chciał mu odpowiedzieć, ale nie mógł wydobyć z siebie głosu, nie potrafił znaleźć odpowiednich słów. To niemożliwe. Przesuwał wzrokiem po opuszczonym obozowisku i zatrzymał go na toporze. Ogromny berdysz o podwójnym ostrzu leżał dokładnie w tym samym miejscu, w którym go widział wcześniej. Bardzo cenna broń...

— Wstawaj, Will — rozkazał ser Waymar. — Tam nikogo nie ma. Przestań się chować po krzakach. — Will wykonał niechętnie rozkaz. Ser Waymar obrzucił go spojrzeniem pełnym dezaprobaty. — Nie mam zamiaru wracać do Czarnego Zamku z mojej pierwszej wyprawy jako pokonany. Znajdziemy tych ludzi. — Rozejrzał się dookoła. — Na drzewo. Szybko. Szukaj ognia.

Will odwrócił się bez słowa. Nie było sensu się sprzeciwiać. Wiatr wiał coraz mocniej. Czuł jego przenikliwe zimno. Podszedł do ogromnego, szarozielonego drzewa i zaczął się na nie wspinać. Niebawem ręce miał lepkie od żywicy. Zniknął wśród igieł. Strach wypełniał mu żołądek, niczym nie strawiony posiłek. Szeptem odmówił modlitwę do bezimiennych bogów lasu i wysunął z pochwy swój sztylet. Wspinał się, trzymając go w zębach. Smak zimnego żelaza w ustach dodał mu trochę otuchy.

Nagle z dołu dobiegło wołanie młodego rycerza.

— Kto tam? — Jego głos zabrzmiał niepewnie. Will zamarł w bezruchu, nasłuchując i wyęzając wzrok.

Las odpowiedział szelestem liści, szumem lodowatej wody strumienia, pohukiwaniem sowy.

Inni nie wydali najmniejszego dźwięku.

Kątem oka Will dostrzegł jakiś ruch. Blade postacie przemy-

kające przez las. Odwrócił głowę i zdążył zauważyć w ciemności biały cień. Tylko przez krótką chwilę. Gałęzie drzew poruszyły się łagodnie, drapiąc się nawzajem drewnianymi palcami. Will otworzył usta, by ostrzec młodego rycerza, lecz słowa jakby zamarły w jego gardle. Może się mylił. Może to był tylko ptak, odbicie na śniegu, gra księżycowego światła? Nie był pewien, co widział.

— Will, gdzie jesteś? — zawołał ser Waymar. — Widzisz coś? — Obracał się powoli, zaniepokojony, z mieczem w dłoni. Pewnie już ich wyczuł, podobnie jak Will. Nikogo jednak nie było widać. — Odpowiedz mi! Dlaczego zrobiło się tak zimno!

Rzeczywiście ogarnął ich straszny chłód. Will przycisnęła twarz do pnia, drżąc. Czuł na policzku lepką i słodką żywicę.

Z ciemności lasu wyłonił się cień. Stał naprzeciwko Royce'a. Wysoki, chudy i twardy jak stare kości, o skórze białej jak mleko. Kiedy się poruszał, wydawało się, że jego zbroja zmienia kolor; w jednej chwili była biała jak śnieg, w następnej ciemna jak cień, upstrzona cętkami szarozielonej barwy drzew, które migotały nieustannie niczym światło księżycy na wodzie.

Will usłyszał, jak ser Waymar Royce wypuszcza z sykiem powietrze.

— Nie zbliżaj się — rzucił ostrzegawczo młody rycerz. Jego głos załamał się, jak głos chłopca. Odrzucił do tyłu poły czarnego futra, by uwolnić ramię, i ujął miecz w obie dłonie. Wiatr zamarł. Panowało przenikliwe zimno.

Inny bezszelestnie zrobił krok do przodu. Will dostrzegł w jego ręku miecz, jakiego jeszcze nigdy nie widział. Z pewnością nie został wykuty ze stali znanej człowiekowi. Niemal przezroczyste ostrze ożywało w blasku księżycy; oglądany z boku, krystaliczny miecz pozostawał prawie niewidoczny. Wokół jego krawędzi igrało niebieskawe migotanie, upiorny blask. Will wyczuwał, że miecz jest ostrzejszy od brzytwy.

Ser Waymar stanął dzielnie do walki.

— A zatem zatańcz ze mną. — Uniósł broń nad głowę. Jego dłonie drżały, może pod ciężarem oręża, a może z zimna. W tej

chwili Will pomyślał, że młody rycerz nie jest już chłopcem, lecz mężczyzną, jednym z Nocnej Straży.

Inny zatrzymał się. Will zobaczył jego oczy: niebieskie, lecz niebieskie taką głębią, jakiej nie znajdzie się w oczach ludzkiej istoty. Ich błękit płonął niczym lód. Oczy Innego spoczęły na uniesionym w górę drżącym mieczu, obserwowały ślizgające się po nim zimne światło księżyca. W Willa wstąpiła otucha, lecz tylko na krótką chwilę.

Wynurzali się z ciemności bezszelestnie. Najpierw dwóch, potem trzech... czterech... pięciu... Być może ser Waymar poczuł towarzyszący im chłód, lecz nie widział ich, nie słyszał. Will powinien ostrzec dowódcę. To było jego obowiązkiem. I jego wyrokiem, gdyby go spełnił. Zadrżał i przywarł mocniej do drzewa.

Błady miecz przeciął powietrze.

Stalowe ostrze ser Waymara wyszło mu naprzeciw. Spotkały się, lecz nie rozległ się dźwięk uderzenia metalu o metal; jedynie ledwie słyszalny, wysoki odgłos podobny do przepełnionego bólem krzyku zwierzęcia. Royce odparował cios, potem następny i odskoczył w tył. Kolejne cięcia i znowu musiał się wycofać. Postacie z tyłu stały nieruchomo i przyglądały się, pozbawione twarzy, milczące, a ich migocące zbroje sprawiały, że pozostawały prawie niewidoczne. Czekały.

Pojedynek toczył się nieprzerwanie i miecze nacierały na siebie co chwilę, Will zaś miał ochotę zatkać uszy za każdym razem, kiedy rozlegał się dziwny, zawodzący zgrzyt. Teraz ser Waymar dyszał ciężko, wyczerpany, a pot z jego czoła parował w blasku księżyca. Ostrze jego miecza pokrywał szron. Inny tańczył ze swoim jasnoniebieskim promieniem.

Wreszcie Royce zasłonił się o sekundę za późno. Błade ostrze przedarło się przez kolczugę pod jego ramieniem. Młody lord krzyknął z bólu. Spomiędzy pierścieni kolczugi wypłynęła krew. Parowała w zimnym powietrzu, a jej czerwone krople wydawały się czerwone jak ogień, kiedy dotykały śniegu. Ser Waymar potarł dłonią swój bok. Rękawica z kreciej skóry ociekała krwią.

Inny powiedział coś w obcym języku, nie znanym Willowi. Jego

głos zabrzmiał jak trzask lodu na jeziorze; niewątpliwie była to jakaś drwina.

Ser Waymar poczuł przypływ wściekłości.

— Za Roberta! — zawołał i skoczył do przodu; uniósłszy pokryty szronem miecz, zadał cios z boku. Inny zasłonił się niedbałym ruchem.

Kiedy oba miecze spotkały się, stalowe ostrze pękło.

Nocną ciszę rozdarł przeraźliwy krzyk spotęgowany echem, a długi miecz rozsypał się na setki kawałków, które leciały niczym deszcz igieł. Krzycząc okropnie, Royce opadł na kolana i zakrył oczy. Krew tryskała spomiędzy jego palców.

Przyglądający się podeszli bliżej, jakby na dany znak. W śmiertelnej ciszy miecze wznosiły się i opadały. Zimna rzeź. Błade ostrza przechodziły przez kolczugę, jakby to był jedwab. Will zamknął oczy. Z dołu dochodziły głosy i śmiech ostry jak sople lodu.

Kiedy po długim czasie odważył się wreszcie otworzyć oczy, na polanie nie było nikogo.

Wciąż siedział na drzewie, bojąc się oddychać, a księżyc przemykał powoli po czarnym niebie. Wreszcie, zdrętwiały, zszedł na ziemię.

Ciało Royce'a spoczywało na śniegu, twarzą do ziemi, z jednym ramieniem odrzuconym w bok. Na jego grubym, czarnym futrze z soboli widniały liczne przecięcia. Kiedy tak leżał, widać było wyraźnie, jaki był młody. Zaledwie chłopiec.

Nieopodal znalazł to, co zostało z miecza: kawałek metalu rozetrwany i skręcony niczym drzewo uderzone piorunem. Przyklęknął, rozglądając się ostrożnie, i podniósł metal. To będzie jego dowód. Gared wszystko zrozumie, a jeśli nie on, to ten Stary Niedźwiedź, Mormont, i maester Aemon. Czy Gared czeka jeszcze przy koniach? Musi się spieszyć.

Podniósł się. Nad nim stał ser Waymar Royce.

Z jego wspaniałej szaty pozostały strzępy, tak samo jak z twarzy. Odłamek miecza przebił mu lewe oko. Prawe było nadal otwarte. Jego źrenica płonęła niebieskim blaskiem. Oko patrzyło. Will wypuścił z dłoni okruch metalu. Zamknął oczy i zaczął się modlić.

Długie, zgrabne palce musnęły jego policzek i zacisnęły się na jego gardle. Schowane były w rękawicach z delikatnej kreciej skórki, lepkiej od krwi, lecz przeraźliwie zimnej.

BRAN

Ranek był pogodny, lecz zimny, co zwiastowało koniec lata. Wyruszyli o świcie, by zobaczyć egzekucję. Bran, ogromnie podniecony, był jednym z dwudziestu, którzy się na nią udawali. Po raz pierwszy uznano, że jest już na tyle dorosły, by pojechać z panem ojcem i braćmi i obserwować, jak wymierza się sprawiedliwość. Był to siódmy rok życia Brana, a dziewiąty rok lata.

Mężczyznę wyprowadzono już wcześniej przed ogrodzenie niewielkiego grodu wśród wzgórz. Robb sądził, że jest to dziki, zaprzysiężony Mance'owi Rayderowi, Królowi za Murem. Na samą myśl o tym Bran poczuł gęsią skórkę. Przypomniał sobie opowieści Starej Niani. Od niej dowiedział się, że dzicy są okrutni, kradną, mordują i handlują ludźmi. Zadawali się z olbrzymami i wampirami, nocą porywali dziewczynki i pili krew z wypolerowanych rogów. A ich kobiety w czasie Długiej Nocy sypiały z Innymi i rodziły na wpół ludzkie istoty.

Mężczyzna, którego ujrzeni, przywiązany mocno do muru w oczekiwaniu na egzekucję, okazał się jednak stary i wychudzony, niewiele wyższy od Robba. Stracił na mrozie uszy i palec, a ubrany był na czarno, podobnie jak bracia z Nocnej Straży, tyle tylko, że jego odzienie było brudne i postrzępione.

Para z ludzkich i końskich oddechów mieszała się w zimnym powietrzu poranka, kiedy pan ojciec rozkazał odwiązać mężczyznę i przywlec przed ich oblicza. Robb i Jon siedzieli nieruchomo na grzbietach swoich koni ustawionych po obu stronach kuca Brana, który starał się, by wyglądać na więcej niż siedem lat, i udawał, że

taki widok nie jest mu obcy. Delikatny powiew wiatru poruszył bramą grodu. Nad ich głowami zatrzepotał proporzec rodu Starków z Winterfell: szary wilkor pędzący przez śnieżnobiałe pole.

Ojciec Brana siedział nieruchomo na koniu, a jego długie brązowe włosy powiewały na wietrze. Miał trzydzieści dwa lata, lecz postarzała go krótko przystrzyżona broda przetykana siwizną. Tego dnia w jego oczach czało się ponure spojrzenie, a on sam ani trochę nie przypominał człowieka, który opowiada wieczorem przy ogniu o Erze Herosów i dzieciach lasu. Jakby zdjął maskę ojca, pomyślał Bran, i założył maskę lorda Starka z Winterfell.

W chłodzie poranka zadawano pytania i padały odpowiedzi, lecz później Bran niewiele pamiętał z tego, co zostało powiedziane. Wreszcie pan ojciec wydał rozkaz i dwaj strażnicy przyciągnęli obdartego mężczyznę do pnia grabu na środku placu. Położyli mu głowę na twardym, czarnym pieńku. Lord Eddard Stark zsiadł z konia, a jego podopieczny, Theon Greyjoy, przyniósł jego miecz, Lód. Ów ostrze miał szerokie jak dłoń mężczyzny, a długością przewyższał nawet wzrost Robba. Wykute z valyriańskiej stali za pomocą magii, było ciemne jak dym i bez jakiegokolwiek szczyrby.

Ojciec zdjął rękawiczki i podał je Jory'emu Casselowi, kapitanowi gwardii przybocznej. Ujął Lód w obie ręce i przemówił:

— W imieniu Roberta z Rodu Baratheonów, Pierwszego Tego Imienia, Króla Andalów, Rhoynarów oraz Pierwszych Ludzi, wyrokiem Eddarda z Rodu Starków, Lorda Winterfell i Namiestnika Północy skazuję cię na śmierć. — Po tych słowach uniósł miecz wysoko nad głowę.

Jon Snow, brat bękart Brana, przysunął się do niego.

— Trzymaj mocno kuca — szepnął. — I nie odwracaj się. Ojciec zauważy, jeśli się odwrócisz.

Bran trzymał mocno kuca i nie odwrócił się.

Ojciec pozbawił skazańca głowy jednym pewnym cięciem. Krew trysnęła na śnieg, czerwona jak letnie wino. Jeden z koni stanął dęba i trzeba było go mocno trzymać, by się nie spłoszył. Bran nie mógł oderwać oczu od krwi. Patrzył, jak śnieg wokół pnia pije ją łapczywie, zmieniając barwę.

Odcięta głowa odbiła się od korzenia i zatrzymała dopiero tuż przy nogach Greyjoya. Theon był chudym, ciemnowłosym młodzieńcem w wieku dziewiętnastu lat, którego wszystko śmieszyło. Teraz także roześmiał się i kopnął głowę.

— Błazen — mruknął Jon na tyle cicho, by nie usłyszał tego Greyjoya. Położył dłoń na ramieniu Brana, a ten spojrział na przyrodniego brata. — Dobrze się spisałeś — przemówił Jon z powagą. Jon miał czternaście lat i już nieraz patrzył, jak wymierzano sprawiedliwość.

Kiedy wyruszyli w długą powrotną drogę do Winterfell, jakby się ochłodziło, chociaż ustał wiatr, a słońce stało wyżej na niebie. Bran i jego bracia jechali daleko z przodu przed całą grupą; jego kuc z trudem nadążał za końmi.

— Dezerter umarł dzielnie — oznajmił Robb. Był roslym młodzieńcem, który z każdym dniem stawał się większy. Z karnacji podobny do matki: jasna cera, rudawobrązowe włosy i niebieskie oczy Tullych z Riverrun. — Przynajmniej nie okazał się tchórzem.

— Nie — powiedział cicho Jon Snow. — To nie była odwaga. On był śmiertelnie przerażony. Widziałem to w jego oczach. — Oczy Jona były szare, prawie czarne, lecz były to oczy, przed którymi nic się nie ukryło. Jon miał tyle lat, co Robb. Wcale nie byli do siebie podobni. Jon był smukły i ciemnowłosy, Robb muskularny i jasnowłosy; Jon zwinny i pełen gracji, jego przyrodni brat zaś silny i szybki.

Robb nie wydawał się zdziwiony.

— Niech Inni wydrapią mu oczy — zaklął. — Umarł dzielnie. Ścigamy się do mostu?

— Zgoda — odparł Jon i ścisnął piętami boki konia. Robb zaklął i popędził za nim galopem, pokrzykiwał i śmiał się głośno, tymczasem Jon jechał w milczeniu, skupiony. Ich konie wyrzucały kopytami w górę tumany śnieżnego pyłu.

Bran nie próbował ich gonić. Jego kuc nie miał szans z końmi. Jechał wolno, nie przestając myśleć o oczach skazanego mężczyzny, które przedtem zobaczył. Niebawem śmiech Robba umilkł i las znowu pogrążył się w ciszy.

Zamyślony, nie usłyszał, kiedy ojciec i jego świta go dogonili.

— Dobrze się czujesz, Bran? — spytał ojciec, który nieoczekiwanie znalazł się u jego boku.

— Tak, ojczy — odpowiedział. Spojrzał w górę. Jego pan ojciec, owinięty w futra i skóry, patrzył na niego ze swojego ogromnego rumaka niczym olbrzym. — Robb twierdzi, że tamten człowiek umarł dzielnie, ale Jon uważa, że się bał.

— A co ty myślisz? — zainteresował się ojciec.

Bran zastanowił się.

— Czy można okazać dzielność, bojąc się jednocześnie?

— Tylko wtedy można być naprawdę dzielnym — oświadczył ojciec. — Czy rozumiesz, dlaczego to zrobiłem?

— To był dziki — stwierdził Bran. — A dzicy porywają kobiety i sprzedają je Innym.

Jego pan ojciec uśmiechnął się.

— Znowu słuchałeś opowieści Starej Niani. W rzeczywistości ten człowiek złamał przysięgę, zdezerterował z Nocnej Straży. Nie ma ludzi bardziej niebezpiecznych. Dezerter dobrze wie, że jego los jest przesądzony, jeśli da się złapać, dlatego nie cofnie się przed nawet najpodlejszą zbrodnią. Ale mnie nie o to chodziło. Nie pytałem cię, dlaczego on zginął, lecz dlaczego ja muszę robić to osobiście.

Bran nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie.

— Król Robert ma kata — rzekł niepewnie.

— Tak — przyznał ojciec. — Podobnie jak jego poprzednicy, Targaryenowie. Lecz my postępujemy według starszych zwyczajów. W żyłach Starków wciąż płynie krew Pierwszych Ludzi. Wiemy, że ten, kto wydaje wyrok, sam powinien go wykonać. Jeśli chcesz odebrać komuś życie, powinieneś spojrzeć mu w oczy i wysłuchać jego ostatnich słów. Jesteś mu to winien. Kiedy nie masz odwagi tego uczynić, skąd możesz wiedzieć, że ten człowiek zasługuje na śmierć?

Któregoś dnia ty, Bran, zostaniesz chorążym Robba, będziesz zasiadał we własnej twierdzy i sam wymierzał sprawiedliwość. Gdy nadejdzie ta chwila, musisz pamiętać, żeby nie stała się ona dla cie-

bie przyjemną, lecz też nie wolno ci odwracać wzroku. Władca, który chowa się za płatnym katem, szybko zapomina, czym jest śmierć.

W tym momencie na grzbiecie wzgórza pojawił się Jon. Machając ręką, krzychał:

— Ojcie, Bran, chodźcie szybko, zobaczcie, co znalazł Robb!

— W następnej chwili już zniknął za wzgórzem.

Podjechał do nich Jory.

— Jakież kłopoty, panie?

— Bez wątpienia — odparł pan ojciec. — Zobaczmy, co tam znowu nabroili moi synowie. — Ruszył kłusem, a Jory, Bran i pozostali pojechali za nim.

Znaleźli Robba na północnym brzegu rzeki. Jon siedział jeszcze na koniu obok niego. Na koniec lata spadły obfite śniegi, dlatego Robb stał w zaspie po kolana z odrzuconym kapturem, tak że słońce odbijało się od jego jasnych włosów. Trzymał coś na rękach. Obaj rozmawiali podnieconymi i ściszonymi głosami.

Jeźdźcy zbliżali się do młodzieńców ostrożnie przez zasy, starając się wybierać równą drogę na niepewnym gruncie. Pierwsi dotarli do nich Jory Cassel i Theon Greyjoy. Greyjoy jechał, śmiejąc się i żartując. Bran usłyszał, jak tamten wypuszcza z sykiem powietrze.

— Bogowie! — zawołał, próbując utrzymać równowagę na koniu, kiedy sięgnął po miecz.

Jory trzymał już swój w dłoni.

— Robb, odsuń się od tego! — zawołał, a jego koń stanął dęba.

Młodzieniec uśmiechnął się tylko i spojrział sponad tego, co trzymał na rękach.

— Ona już nic ci nie zrobi, Jory — powiedział. — Zdechła.

Bran czuł rozpierającą go ciekawość. Chętnie pognałby do przodu na swoim kucu, lecz ojciec kazał im zsiść z koni jeszcze przy moście i dalej pójść pieszo. Bran zeskoczył na ziemię i pognał do przodu. Teraz także Jon, Jory i Theon zdążyli już zsiść z koni.

— Na siedem piekieł, co to jest? — odezwał się Greyjoy.

— Wilk — rzekł Robb.

— Odmieniec — odpowiedział Greyjoy. — Popatrz, jaki jest duży.

Bran czuł, jak mocno bije mu serce, kiedy przebrnął przez zaspę sięgającą mu do pasa i stanął u boku brata.

Ujrzał ogromną, ciemną postać, martwą i na wpół zagrzebaną w zakrwawionym śniegu. W szarej, kudłatej sierści lśnił lód, a nad zdechłym zwierzęciem unosił się słaby odór zepsucia. Bran dostrzegł robaki pełzające po oczach i pożółkłe zęby w pysku. Największe jednak wrażenie zrobiły na nim rozmiary zwierzęcia. Wilk był większy od jego kuca, dwukrotnie większy od największego ogara z psiarni jego ojca.

— To nie jest odmieniec — oznajmił Jon spokojnie. — To jest wilkor. One są większe od wilków.

— Nie widywano ich od dwustu lat na południe od Muru — wtrącił Theon Greyjoy.

— Teraz jednak widzę — odparł Jon.

Bran oderwał wzrok od potwora i wtedy dokładniej przyjrzał się temu, co Robb trzyma na rękach. Wydał okrzyk radości i podszedł bliżej. Szczęnię przypominało kulkę z szarocznego futra. Oczywiście miało jeszcze zamknięte. Popiskując smutno, macało pyskiem ślepo po piersi Robba w poszukiwaniu mleka. Bran niepewnie wyciągnął rękę.

— Śmiało — zachęcił go Robb. — Możesz go dotknąć.

Bran pogłaskał szybko szczęnię i odwrócił się do Jona, który powiedział:

— Trzymaj. — Jego przyrodni brat podał mu drugie szczęnię. — Jest ich pięć. — Bran usiadł na ziemi i przytulił wilczka do twarzy. Poczuł miękkość i ciepło jego sierści.

— Wilkory w królestwie po tylu latach — mruknął Hullen, koniuszy. — To mi się nie podoba.

— To znak — stwierdził Jory.

Ich ojciec zachmurzył się.

— Jory, to tylko zdechłe zwierzę — powiedział, choć sam wydawał się zatroskany. Kiedy obchodził wilka, śnieg zaskrzypiał pod jego butami. — Czy wiadomo, co ją zabiło?

— Ma coś wbite w gardło — odezwał się Robb, dumny, że potrafi odpowiedzieć, zanim jeszcze spytał go ojciec. — Tam, pod samą szczęką.

Lord Eddard przyklęknął i wsunął dłoń pod łeb zwierzęcia. Potem szarpnął i podniósł rękę wysoko, tak by wszyscy zobaczyli. Trzymał w niej kawałek rogu, oderwaną rosochę umazaną krwią.

Stojący dookoła zamilkli. Patrzyli na rogi z niepokojem i żaden nie śmiał się odezwać. Nawet Bran wyczuwał ich strach, choć nie rozumiał, czego się boją.

Ojciec odrzucił róg i wytarł dłonie o śnieg.

— Dziwi mnie, że przeżyła na tyle długo, żeby się oszczenić — orzekł. Jego słowa przerwały krąg milczenia.

— Może nie przeżyła — powątpiewał Jory. — Słyszałem... może wilczyca zdechła, zanim urodziły się szczenięta.

— Zrodzone z martwych — wtrącił ktoś. — Jeszcze gorzej.

— Nieważne — rzucił Hullen. — One też niedługo zdechną.

Okrzyk rozpaczy zamarł w gardle Brana.

— Im szybciej, tym lepiej — wtrącił Theon Greyjoy, wyciągając miecz. — Bran, dawaj tutaj tę bestię.

Szczenie przytuliło się do niego, jakby rozumiało ludzkie słowa.

— Nie! — zawołał gwałtownie Bran. — On jest mój!

— Odłóż miecz, Greyjoy — rozkazał Robb. Przez moment wydawało się, że przemawia jak ojciec, jak lord, którym kiedyś miał zostać. — Zatrzymamy te szczeniaki.

— Chłopcze, nie możesz tego zrobić — rzekł Harwin, syn Hullen.

— Okażemy serce, zabijając je — dodał Hullen.

Bran spojrział na pana ojca, spodziewając się pomocy, lecz napotkał tylko jego nachmurzone oblicze.

— Synu, Hullen ma rację. Lepiej zadać im szybką śmierć, niż pozwolić, by zdychały powoli z zimna i głodu.

— Nie! — Odwrócił głowę, czując napływające do oczu łzy. Nie chciał płakać w obecności ojca.

Robb także nie chciał ustąpić.

— W zeszłym tygodniu oszczeniła się ruda suka ser Rodrika —

powiedział. — Przeżyły tylko dwa szczeniaki, więc będzie miała dość mleka.

— Rozerwie je na strzępy, gdy tylko spróbują się przystawić.

— Lordzie Stark — odezwał się Jon. Ten oficjalny ton wywołał zdziwienie. Bran wpatrywał się w niego pełen nadziei. — Znaleźliśmy pięć szceniaków — kontynuował Jon. — Trzy samce i dwie samice.

— I co z tego, Jonie?

— Ty masz pięcioro dzieci z prawego łoża. Trzech synów i dwie córki. Ta wilczyca jest jakby symbolem twojego Rodu. Los zesłał te szczenięta twoim dzieciom, panie.

Bran zauważył zmianę na twarzy ojca, dostrzegł też spojrzenia, jakie wymienili między sobą stojący dookoła mężczyźni. Poczuł ogromną miłość do Jona. Pomimo swoich siedmiu lat dobrze rozumiał, czego dokonał jego brat. Liczba zwierząt i ludzi zgadzała się tylko dlatego, że Jon nie wymienił samego siebie. Wspomnił o dziewczynkach, nawet o małym Rickonie, lecz nie wymienił bękartą noszącego nazwisko Snow, nazwisko zwyczajowo nadawane ludziom na północy, którzy mieli pecha urodzić się bezimiennie.

Ojciec szybko zrozumiał.

— A zatem, Jonie, nie chcesz szczenięcia dla siebie? — spytał łagodnie.

— Wilkor widnieje na sztandarze rodu Starków — zauważył Jon. — Ja nie noszę ich nazwiska, ojczu.

Pan ojciec przyglądał mu się uważnie. Robb natychmiast wykorzystał chwilę milczenia.

— Ojczu, sam się zajmę szczeniakiem — wtrącił. — Namoczę ręcznik ciepłym mlekiem i dam mu do ssania.

— Ja też! — krzyknął Bran.

Lord długo mierzył uważnym spojrzeniem swoich synów.

— Łatwo powiedzieć, ale trudniej zrobić. Nie pozwolę, żebyście zawracali głowę służbie. Jeśli chcecie zatrzymać szczeniaki, sami musicie je karmić. Jasne? — Bran przytaknął mu gorliwie. Szczeniak poruszył się i polizał jego policzek ciepłym językiem. — Sami je też wytresujecie — dodał ojciec. — Wy i nikt inny. Obiecu-

ję, że nikt z psiarni nie dotknie nawet palcem tych potworów. Niech was bogowie mają w opiece, jeśli zaniedbacie swoje zwierzęta, odniesiecie się do nich brutalnie albo źle je wytresujecie. To nie są jakieś tam kundle, które będą żebrać o jedzenie i uciekną przed kopniakiem. Wilkor urwie ci rękę z taką samą łatwością, z jaką pies rozrywa szczura. Czy wciąż chcecie je zatrzymać?

— Tak, ojcze — potwierdził Bran.

— Tak — powtórzył jak echo Robb.

— Szczeniaki mogą zdechnąć bez względu na to, jak bardzo będziecie się starali.

— Nie zdechną — zapewnił go Robb. — Nie pozwolimy im zdechnąć.

— A zatem zatrzymaj je, Jory. Desmond, zabierz pozostałe. Czas wracać do Winterfell.

Dopiero kiedy wsiedli na konie, Bran pozwolił sobie zakosztować słodkiego smaku zwycięstwa. Jechał ze szczeniakiem wciśniętym głęboko i bezpiecznie pod ubranie. Zastanawiał się, jak go nazwać.

Kiedy wjechali na most, Jon gwałtownie zatrzymał konia.

— O co chodzi, Jon? — spytał pan ojciec.

— Nie słyszycie?

Bran słyszał wycie wiatru w konarach drzew, stukot końskich kopyt na drewnianym moście i popiskiwanie głodnego szczeniaka, lecz Jon nasłuchiwał czegoś jeszcze.

— Tam — powiedział Jon i pogalopował z powrotem przez most. Patrzyli, jak zsiada z konia w pobliżu zdechłej wilczycy i przykłęka. W następnej chwili wracał już do nich uśmiechnięty. — Pewnie odłączył się od pozostałych — uznał Jon.

— Albo został odpędzony — dodał Eddard Stark, spoglądając na szóstego szczeniaka. Ten był zupełnie biały, a oczy miał czerwone jak krew skazańca, który został stracony tego ranka. Bran zauważył zdziwiony, że tylko ten jeden szczeniak otwiera już oczy.

— Albinos — zauważył Theon Greyjoy z wymuszonym uśmiechem na ustach. — Zdechnie jeszcze przed tamtymi.

Jon Snow rzucił chłodne spojrzenie podopiecznemu ojca.

— Nie sądzę, Greyjoy — oznajmił. — On należy do mnie.